

Cienki koniec Krzaklewskiego

29 lipca 2008

Rządził Polską, a teraz zniknął nawet z ludzkiej pamięci.

Jedynym publicznym przejawem tego, że Marian Krzaklewski istnieje, jest jego żona Maryla, która od dwóch lat jest gdańską radną z PiS.

Gdy zacząłem rozpytywać w Gdańsku jego dawnych politycznych kolegów o „człowieka roku”, „najbardziej wpływowego człowieka”, „najbardziej wpływowego polityka”, laureata nagrody Kisielewskiego i posiadacza „lauru umiejętności”, reakcje były zazwyczaj dwie. Obojętnego zainteresowania: – Ty, właśnie, sam jestem ciekaw. Co on właściwie robi? Albo lekceważącego zdziwienia: – Eee, a kogo to obchodzi.

Jakże krótka i niewdzięczna jest pamięć ludzka – wypada załkać. Przecież o Marianie Krzaklewskim przez kilka lat media donosiły niemal codziennie. Co zrobił, co powiedział, co pomyślał, co nakazał swojemu premierowi. Kogo mianował ministrem, w którą stronę zatrzęsł Polską. Niektórzy jego podwładni nadal nią trzęsą i gwiazdorują w telewizjach. Wódz zapadł się pod ziemię.

SUPERPREMIER

Dr Marian Krzaklewski (często nazywany Duce ze względu na charakterystycznie uniesiony podbródek oraz postawę przyjmowaną podczas przemówień), choć formalnie był tylko posłem i przewodniczącym klubu parlamentarnego AWS, to de facto pełnił nieformalny urząd superpremiera. Najpierw zlepił kilka prawicowych partyjek ze związkami zawodowymi „S”, którym kierował jako przewodniczący, w jedną Akcję Wyborczą Solidarność i wygrał z tym zlepkiem wybory parlamentarne w roku 1997, potem ulepił premiera z nikomu nieznanego działacza związkowego i profesora chemii Jerzego Buzka. Poruszał tym premierem jak plastelinową figurką. To wówczas powstało

określenie „kierowanie z tylnego siedzenia”. Buzek ze świtą ministrów wielokrotnie przyjeżdżał z Warszawy do budynku związku przy ul. Wały Piastowskie 24 w Gdańsku na narady z Krzaklewskim, jak gdyby naradzania się w kuluarach Sejmu było im mało. Ale Marian chciał pokazać związkowcom i aparatuwi solidaruchów, że oto premier przyjeżdża na jedno pstryknięcie. I słucha.

Marian, jak każdy człowiek o wielkiej władzy i mocy, pokazywany był w telewizji, jak całuje się z papieżem (telewidzowie pamiętają, gdy podczas pielgrzymki w roku 1997 tak mocno przywarł ustami do ręki papieża, że Dziwisz musiał go odganiać), obejmuje się z innymi przywódcami (Margaret Thatcher miała powiedzieć o nim, że jest jedynym politykiem w Polsce, który myśli), jeździ gasić niepokoje (nawet pod ziemię do górników).

Chciał zostać prezydentem RP. Przerznął w wyborach w 2000 r. z wynikiem 15,57 proc. lokując się za Aleksandrem Kwaśniewskim i Andrzejem Olechowskim.

Po klęsce – tak już jest ten świat urządzony – dawni partyjni towarzysze zaczęli powoli odpływać w inne rejony – a to do PiS, a to do PO, a to do LPR.

Sromota spotkała go tak wielka, że w kolejnych wyborach parlamentarnych – w roku 2001 – został wystawiony zaledwie na Podkarpaciu, w Rzeszowskiem, na liście Akcji Wyborczej Solidarność Prawicy, ugrupowania utworzonego przez niedawnego pupila Buzka. Żadna tam Warszawa, Śląsk czy Gdańsk. Dostał tam trzecie miejsce pod względem liczby głosów. Więcej od niego uzyskali będący od dawien dawna na politycznym marginesie oszołomstwa Zygmunt Wrzodak startujący z listy LPR (niemal dwa razy więcej głosów niż Marian) i szerzej nieznany krajowej publiczności Wiesław Ciesielski z SLD. Do Sejmu ostatecznie Krzak nie wszedł, jak i całe jego ugrupowanie.

EKSMISJA

We wrześniu 2002 r. Krzaklewski po trzech kadencjach utracił przywództwo w „Solidarności”, która była jego ostatnim bastionem. Po kilku turach głosowań przegrał ostatecznie z Januszem Śniadkiem. Nic nie pomogło jego żądanie, żeby powtórzyć głosowanie. Oklaski od delegatów dostał dopiero wówczas, gdy ogłosił, że się wycofuje.

Zaraz po tym koledzy związkowcy swojego niedawnego ukochanego wielkiego przywódcę pogonili z zajmowanego służbowego mieszkania – z połowy bliźniaka, który był własnością związku i w którym przez 10 lat mieszkał Krzaklewski z rodziną. Bo związek zdecydował bliźniak sprzedać, aby kupić mniejsze mieszkania dla przyjezdnych członków Komisji Krajowej „S”. Koledzy zresztą nie byli okrutni i dali mu pół roku na wyprowadzkę. Ale czynsz musiał zacząć płacić sam od zaraz. Wcześniej opłacał związek. Krzak rad nierad musiał się albo wyprowadzić z powrotem do Rybnika, gdzie mieszkał wcześniej, albo kupić mieszkanie w Gdańsku. Wybrał Gdańsk. Nabył domek, tzw. szeregowiec.

Po XV Krajowym Zjeździe Delegatów „Solidarności” Marian Krzaklewski był w prawdziwej dupie. Znikąd roboty. I znowu koledzy ulitowali się. Dali robotę.

Przy Komisji Krajowej „S” w Gdańsku zostało stworzone stanowisko samodzielnego specjalisty ds. dialogu społecznego, cokolwiek by to miało znaczyć. Specjalistą został Krzaklewski. Jakiś czas temu samodzielne stanowisko przekształcono w cały dział, aby Marian mógł zostać jego kierownikiem. Oprócz niego w dziale jest jeszcze jedna pani, i to nią teraz rządzi. Z najbardziej wpływowego polityka w Polsce Krzaklewski stał się jednym z dziesiątków urzędników związkowych Komisji Krajowej.

Krzaklewskiemu koledzy dali jeszcze jedną fuchę. Został jednym z sześciu delegatów „S” do Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego i kilka razy w miesiącu lata do Brukseli. EKES jest jedną z typowych biurokratycznych instytucji unijnych, tzw. organem doradczym UE. Jego siedziba mieści się w

Brukseli. W Komitecie pracują 344 osoby z różnych krajów. Wydaje on ok. 150 opinii doradczych rocznie. Mnóstwo papieru na to idzie, bo opinie mają często postać grubych opracowań powielanych w dziesiątkach i setkach egzemplarzy. Przez kilka lat pracy Krzaka w EKES można jego nazwisko zlokalizować przy trzech tematach: integracja sieci transeuropejskich, wspieranie kształcenia poprzez technologie informatyczne, przemiany w przemyśle w regionach transgranicznych.

NIKT

Gdańsk, pomimo że kolejni polscy prezydenci, premierzy i ministrowie albo tu się urodzili, albo studiowali, albo pracowali, jest w gruncie rzeczy miastem prowincjonalnym. Elity zapraszane na premiery teatralne, wernisaże, podmiejskie biesiady z dzikiem i piwem tworzą nie tylko obecni i byli członkowie rządu, ale także lokalni radni, restauratorzy i piekarze, drobniejsi przedsiębiorcy budowlani czy artyści, których nazwiska znane są tylko w wąskim kręgu znajomych.

Ale w życiu towarzyskim, nawet tym prowincjonalnym, także trudno napotkać Krzaklewskiego. Rzadko go zapraszają. Utracił całkowicie władzę, niczego nikomu nie może już załatwić, a serdecznych tzw. starych kumpli w Trójmieście nigdy nie miał.

Gdańskie gazety o Krzaklewskim przestały pisać. W lokalnym, rozkładanym bezpłatnie w niektórych restauracjach tygodniku „Twój Wieczór”, który opisuje w plotkarski sposób biesiadne spotkania, rauty, jubileusze i wybory miss, o Krzaklewskim od lat nie można uświadczyc najmniejszej notki. A przecież w dobie świetności uzyskał tytuł „Homo popularis”, konkursu organizowanego przez tygodnik razem z gdańskim oddziałem telewizji na najbardziej popularną postać Wybrzeża.

Co roku w czerwcu Krzaklewski chadza na imieniny do Lecha Wałęsy. Ale jest tam jednym z kilku setek gości i stoi wśród tych mniej znaczących. W tym roku go zresztą nie było. Corocznie jest też obecny na obchodzonych hucznie w grudniu

urodzinach prałata Henryka Jankowskiego. Ale do prałata już od dobrych kilku lat nie zagląda. Prałat zresztą coraz bardziej podupada na zdrowiu, nie ma więc sił na organizowanie biesiad na kilkaset osób.

Po usilnych przepytywaniach udało mi się ustalić ostatnie publiczne pojawienie się Krzaklewskiego. W lutym tego roku był z żoną gościem IV Szkolnego Bału Charytatywnego w Szkole Podstawowej im. Obrońców Wybrzeża w Żukowie. Przedstawiono go: były kandydat na prezydenta RP. Czyli coś w rodzaju Jana Pietrzaka albo Leszka Bubla.

Jeszcze trzy lata temu w restauracji Cristal w Gdańsku prowadzonej przez Ryszarda Kokoszkę, kumpla i pałacowego restauratora Lecha Wałęsy, można było zamówić spaghetti a la Krzaklewski. Bo Marian jest podobno smakoszem włoskiej kuchni. Makaron podawany w knajpie Kokoszki był zbyt twardy, okraszony niewielką ilością mielonej wieprzowiny i czymś, co miało udawać sos boloński. Kluski zniknęły z karty dań. Tak, jak Krzaklewski z przestrzeni publicznej.

PROROC TWO

Lech Kaczyński, prezydent, który właśnie ogłosił, że chce ponownie być prezydentem, ma tytuł nie tylko „człowieka roku”, ale i „kociarza roku”. Ma nawet tytuł „europejskiego męża stanu”, co prawda przyznany w Turcji, która jeszcze do Europy nie należy, ale zawsze.

Tak sobie myślę, co spotka Lecha Kaczyńskiego za dwa lata. Czy jedynym przejawem jego istnienia będzie żona promująca badania piersi? A Jarosława, nadpremiera, premiera i też kilkakrotnego „człowieka roku”, ktoś zatrudni i pozwoli latać do Brukseli, gdy utraci przywództwo w PiS?

Ten artykuł o Marianie Krzaklewskim jest właśnie dla nich.

MARIAN

„Marylko, poczekaj jeszcze trochę, zmienię bieg spraw, będzie

więcej czasu.”

Z wywiadu Krzaklewskiego dla miesięcznika „Sukces” na pytanie, co odpowiada żonie, gdy skarży się, że ciągle nie ma go w domu.

„Sądzę, że mógłbym sprostać Kwaśniewskiemu. Ale uznałem, że na to jeszcze za wcześnie. (...) Dlaczego bym wygrał? Bo kampania nastawiona była na wygląd, styl i wrażenie wizualne”.

Krzaklewski w książce „Czas na Akcję” o swoich potencjalnych szansach wyborczych w 1995 r. Wówczas Krzaklewski nie startował, choć chciał.

„Zdecydowałem się kandydować na prezydenta Polski, gdyż od 20 lat, działając w wielkim ruchu społecznym „Solidarność”, staram się wcielać w życie ideały Sierpnia (...) Kiedy ongiś jedni budowali mur berliński, inni mieli odwagę wierzyć, że ten mur zostanie zburzony, że wolność zwycięży. Kiedy jedni zapisywali się do partii komunistycznej, akurat wtedy kiedy ulice spływały krwią polskich robotników, inni organizowali się do walki o wolną i niepodległą Polskę. Wybory prezydenckie to nie jest zabawa, to nie rywalizacja na gesty, uśmiechy, to walka o Polskę, o oblicze naszej ojczyzny.”

Krzaklewski w przemówieniu inaugurującym kampanię prezydencką w Kolbuszowej 2 lipca 2000 r.

„Teraz widzę, że łatwiej pracowałoby mi się na stanowisku premiera. Ale co zrobić? Mądry Polak po szkodzie.”

„Wprost”, 22 kwietnia 2002 r.

„...trzecia najważniejsza rzecz w życiu, po rodzinie i Polsce. (...) A dla mnie osobiście „S” to drugi dom. Moi najbliżsi, ze względu na częsta nieobecność w domu, nie są tym szczególnie zachwyceni, ale to rozumieją i akceptują. Od dziesięciu lat, od czasu, gdy powierzono mi funkcję przewodniczącego Związku, traktuję to jako misję. Realizację bardzo ważnego zadania, które nazywa się Polska, prawda, sprawiedliwość.”

Krzaklewski dla „Tygodnika Solidarność” w odpowiedzi na pytanie: Jak dokończyłbyś myśl, zaczynając się od słów

„Solidarność” dla mnie to...

„Przewodniczący Krzaklewski i Wałęsa to dwóch niezależnych mężów stanu. Stosunki między nimi nie są paternalistyczne, przewodniczący rozmawia z Wałęsą bez kompleksów. Historii nie zmieni, więc Wałęsa zostanie historycznym przywódcą związku. Ale ta sama historia mówi, że Krzaklewski ma do odegrania wielką rolę.”

Piotr Żak, były rzecznik „S”.

„Wodzu, prowadź!”

Strajkujący w marcu 1997 r. pracownicy Stoczni Gdańskiej, gdy przyjechał do nich Krzaklewski.

„Musisz, Marian, wziąć wszystkich krótko.”

Działacze na jednym ze spotkań przed powstaniem AWS.

„Krzak – tak.”

Hasło wyborcze w kampanii prezydenckiej w 2000 r.

Autor: Waldemar Kuchanny

Źródło: [„NIE” nr 27/2008](#)